

Podstawa programowa ponad podziałami

KRZYSZTOF KONARZEWSKI

Edukacja nie raz padła ofiarą gier politycznych. Wcale to jednak nie znaczy, że różnice w poglądach politycznych nie pozwalają porozumieć się, czego potrzebuje polska szkoła na co dzień, i przekreślają współpracę na jej rzecz. Z tym przekonaniem podjęliśmy się zaprojektować nową podstawę programową kształcenia ogólnego. Nie należy w tym wieńczyć nowego spisku grupy trzymającej władzę.

Podstawa programowa to dziecko reformy min. Mirosława Handkego. Reforma oddała program nauczania w ręce nauczyciela. Może go albo sam opracować, albo wybrać spośród wielu oferowanych przez resort edukacji. Wcześniej umożliwiono powstanie rynku podręczników szkolnych. Nauczanie tego samego i w tym samym czasie we wszystkich izbach szkolnych w kraju odeszło w przeszłość. Różnicowanie się szkół nie mogło jednak iść za daleko. Chcąc mu wytyczyć granice, reformatorzy wprowadzili podstawę programową. Jako ogólna instrukcja, czego nauczać, obowiązuje nauczycieli, autorów programów i podręczników oraz konstruktorów zewnętrznych testów egzaminacyjnych. Anna Radziwiłł, doradczynie byłego ministra, trafnie nazwała ją zwornikiem programowym.

Po pięciu latach od wprowadzenia podstawy widać, że ten zwornik był lepiej pomyślany, niż wykonany. Okazał się zbyt elastyczny, by utrzymać misterną konstrukcję. Władza nad oświatą zaczęła dryfować w stronę wydawnictw edukacyjnych i Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. Min. Krystyna Łybacka postanowiła zahamować ten proces. Mogła, wzorem swoich poprzedników, powołać resortowy zespół ekspertów, ale wybrała lepsze rozwiązanie: zamówiła projekt nowej podstawy w Instytucie Spraw Publicznych, pozarządowej, niezależnej organizacji badawczej.

Dlaczego lepsze?

Minister, który powołuje zespół mający napisać podstawę programową, szybko staje się jego zakładnikiem. Każdy członek zespołu dba o dobro oświaty, ale także reprezentuje interes własnej grupy zawodowej. Wskutek ścierania się tych interesów prace nad podstawą przeradzają się w długotrwałe targi. Świadczą o tym zgłoszenia logiki w końcowym dokumencie. Minister przestaje być stroną sporu, gdy zleca opracowanie projektu rozporządzenia niezależnej organizacji. Może spokojnie czekać na gotowy projekt i albo go przyjąć, albo zmienić lub odrzucić.

Praca nad projektem z dala od ministerialnych gabinetów bardziej też odpowiada ekspertom. Mogą działać według profesjonalnej oceny potrzeb oświaty, z dala od polityków i lobbystów. Mogą pracować przy otwartej kurtynie, przyczyniając się do ożywienia dyskusji wokół programów nauczania. Publikują swój projekt i biorą zań odpowiedzialność, ale nie dzielą się odpowiedzialnością za ostateczny kształt rozporządzenia.

Zdawać by się mogło, że ten tryb pracy powinien też zadowalać potencjalnych użytkowników podstawy. Ludzie nie lubią, gdy w zaciszu gabinetów obmyśla się zmiany, które mogą z nagłą uderzyć w ich interesy i przyzwyczajenia. Ostatnie afery nauczyły ich, że kto ma dostęp do komputera z tekstem nowego prawa, ten ma władzę, a kto ma władzę, ten spróbuje jej użyć dla prywaty. Nie wiedząc, co się im szykuje, łowią pogłoski oraz ślą petycje i protesty, by pozyskać autorów dla swojej sprawy lub pokrzyżować ich zamiary.

Nasz zespół to kilkudziesięcioro ludzi dobrej woli niereprezentujących nikogo prócz siebie, którzy trują się nad projektem rozporządzenia i wkrótce poddadzą go publicznej osądowi. Dlaczegoż nie pozwolić im w spokoju wywiązać się z zadania, a potem uważnie przyjrzeć się wynikowi? A nuż będzie miał jakieś zalety? Jeśli nie, to przecież będzie okazja, by go rozzerwać na strzępy w publicznej debacie, nie mówiąc o petycjach i protestach kierowanych do ministra

edukacji. Czasu na to nie zabraknie: rzecznik prasowy MENiS zapowiedział, że dyskusja nad projektem będzie trwać przez cały rok szkolny 2005/2006.

A jednak środowiska nauczycieli, administracji oświatowej, wydawców, a także gdzieś niegdzie rodziców uczniów są zaniepokojone. Świadczą o tym nie tylko listy, ale i liczne artykuły prasowe – nie wszystkie tak wyważone, jak tekst Katarzyny Hall (Rzeczpospolita 09.12.2004). Skąd bierze się ten niepokój?

To tylko projekt

Zamawianie projektów aktów prawnych w organizacjach pozarządowych jest w Polsce nowością. Zapewne dlatego umknęło uwagi wielu krytykom. Hall miałaby rację, potępiając „wzbudzające niepokoje, pospieszne przeredagowywanie podstawowych rozporządzeń edukacyjnych”, gdyby nie to, że nasz zespół wcale tego nie robi.

Projekt ekspertów nie powstaje pod wpływem badań opinii społecznej i głosowania reprezentantów rozmaitych środowisk. Ekspertki kierują się własnym rozeznaniami i miejscami mogą płynąć pod prąd potocznych opinii. Są autorami projektu, więc tego prawa odmówić im nie wolno. Nie można też ślepo im zawierzyć. Najlepszym wyjściem w sprawie tak doniosłej, jak podstawa programowa byłoby zamówienie nie jednego, lecz co najmniej dwóch niezależnych projektów. Kazimierz Korab, jeden z ojców obowiązującej podstawy programowej, ogłosił w „Tygodniku Solidarność” zaciąg do zespołu, który ma opracować alternatywny projekt. Gdybym nie pracował w zespole ISP, pierwszy bym się stawiał.

Hall proponuje zacząć od politycznej debaty przy okrągłym stole z udziałem wszystkich reformatorów oświaty od 1989 r. Debata o czym? Jeśli o „filozofii kształcenia”, głównych założeniach lub ogólnych scenariuszach rozwoju oświaty, to będzie się ona toczyć w nieskończoność – nie bez pożytku, ale bez widoków na porozumienie. Inaczej, gdy na stole leży jeden lub kilka konkretnych projektów. Wtedy jest szansa na owocną dyskusję.

Rewolucji nie będzie

W projekcie nowej podstawy programowej nie zamierzamy zrywać z dotychczasowymi rozwiązaniami, lecz jedynie poprawiać je tam, gdzie to konieczne, tak by podstawa mogła pełnić funkcje, które założył prawodawca. O żadnych zmianach „w głównych założeniach systemu edukacji” nie może być mowy. Chcemy jedynie:

- Jaśniej wytyczyć pola odpowiedzialności. Podstawa jest aktem prawa, a nie aktem strzelistym, nie perswaduje, lecz stawia szkole obowiązki. Teraz dookreślają je inne dokumenty, nierzadko w sposób wysoce arbitralny. Najlepiej to widać na przykładzie nowej matury. Dotychczasowa podstawa pozwala czytać z uczniami „wybraną powieść XX wieku”. Informator CKE dodaje: pod warunkiem że będzie to „Dżuma” Camusa. Na próbnej maturze z wiedzy o społeczeństwie kazano uczniom zgadywać, czym według autora testu różni się „nowoczesne społeczeństwo obywatelskie” od „nienowoczesnego”. Chcemy ograniczyć swobodę egzaminatorów – wpisać do podstawy konkretne wymagania egzaminacyjne, tak by uczeń wiedział, czego się spodziewać na egzaminie, a egzaminator był świadom granic, poza które jego testy nie mogą wykroczyć.

- Zbliżyć podstawę do realiów szkolnych. Obowiązki muszą być realistyczne, inaczej staną się pobożnymi życzeniami. Teraz treści nauczania nie pozostają w żadnym związku z liczbami godzin przydzielonymi poszczególnym przedmiotom. Na przykład w obecnej podstawie mamy szeroko zakrojoną „wiedzę o kulturze”, ale inny przepis każe ją zawrzeć jedynie w 38 lekcjach. Jak w tak krótkim czasie osiągnąć postawione cele? – skarżą się nauczyciele.

- Usunąć elementy martwe. Koronny przykład to obowiązkowe „ścieżki edukacyjne”, zmora większości szkół.

- Ujednolicić strukturę. Każdy składnik opisu: cele, treści i wymagania egzaminacyjne powinien być wyrażony w tych samych kategoriach pojęciowych we wszystkich przedmiotach.

- Uprościć i uporządkować język. Czyż resort oświaty nie powinien świecić przykładem poprawnej i komunikatywnej polszczyzny?

Nauczyciel może tylko zyskać

Różnorodność, która zawitała do szkół dzięki reformie programowej z 1999 r., cieszy oko, ale nic ponadto. Przed reformą każdy nauczyciel musiał nauczać według tego samego programu. Po reformie ogromna większość nauczycieli wybiera jeden z dziesiątków programów zatwierdzonych przez resort. To jest różnica, ale niewielka, bo nauczyciel nadal realizuje cudzy program.

Dlaczego między nauczycielem a podstawą programową musi stać pośrednik w postaci autora programu? Mówi się, że przeciętny nauczyciel nie zdoła przekształcić podstawy programowej w plan codziennego działania w klasie. W to nie wierzę. Bardziej prawdopodobne, że wina leży po stronie obowiązującej podstawy, bo jest zbyt ogólnikowa. Oto przykład. Nauczyciel biologii czyta w podstawie: „budowa i funkcjonowanie układów organizmu człowieka”. Pytanie: wszystkich czy wybranych? Jeśli wybranych, to jakich? Niby sam może zdecydować, ale co będzie, jeśli egzaminatorzy z CKE zdecydują inaczej? Rozsądek wskazuje, by schować się za pośrednika: „Nie uczyłem o układzie wydalniczym, bo tego nie było w programie zatwierdzonym przez MENiS”. Obecna podstawa programowa niechęć utrudnia nauczycielstwu przejście do samodzielności i odpowiedzialności zawodowej. Jeśli nowa unormuje obowiązkową treść nauczania w sposób konkretny, jasny i powiązany z wymaganiami egzaminacyjnymi, to zadanie przekształcenia jej w program wyda się nauczycielom łatwiejsze i mniej ryzykowne.

Trudno zaprzeczyć, że konkretyzacja podstawy ograniczy nieco swobodę, którą cieszą się praktycy. Dotknie to raczej wydawców niż nauczycieli borykających się z arbitralnymi decyzjami autorów programów i podręczników, ale niewielka to pociecha. Wszystkim chcemy skompensować to ograniczenie – przekazać 25% czasu nauczania do ich wyłącznej dyspozycji. To uczciwa zasada: nasz projekt coś normuje ściśle (choć nadal daleko mu do centralnego programu nauczania sprzed reformy), coś zaś bez zastrzeżeń pozostawia indywidualnej pomysłowości praktyków.

Dobrym podręcznikiem nic nie zagraża

Wbrew często wyrażanym obawom nasz projekt nie odeśle do lamusa dotychczasowych podręczników szkolnych. Dobry podręcznik przetrwa każdą burzę. Świadczy o tym kilka podręczników, które nadal są na rynku i cieszą się popularnością, mimo że napisano je grubo przed reformą programową. Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że oferta wydawnicza jest nadzwyczaj zróżnicowana. Oprócz dobrych podręczników, są też złe, najeżone błędami, przeładowane zbędnymi wiadomościami, odstrasające drewnianym stylem. Żeby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do prac Komisji do Oceny Podręczników Szkolnych Polskiej Akademii Umiejętności. Czyciele niewidzialnej ręki rynku wierzą, że sama je z czasem wyeliminuje. Nie podzielam tej wiary. Jeśli nasz projekt pomoże rynkowi – tym lepiej.

Autor jest profesorem pedagogiki i ekspertem oświatowym. Kieruje pracami nad projektem nowej podstawy programowej w Instytucie Spraw Publicznych.